

KEN FOLLETT ZABÓJCZA PAMIĘĆ



CO TAKIEGO WIEDZIAŁ, ŻE POZBAWIONO GO PRZESZŁOŚCI?

Z dziejów astronautyki

Start pierwszego amerykańskiego satelity kosmicznego, Explorera 1, zaplanowany został na środę, dwudziestego dziewiątego stycznia 1958 roku. Późnym wieczorem przesunięto go na dzień następny, z powodu — jak brzmiał oficjalny komunikat — „niesprzyjających warunków atmosferycznych”. Widzowie zgromadzeni na przylądku Canaveral przyjęli to z dużym zdziwieniem, gdyż na Florydzie panowała wówczas piękna, słoneczna pogoda. Rzecznik wojskowy stwierdził jednak, że chodzi o gwałtowne wichry wiejące w górnych warstwach atmosfery.

Następnego dnia, z tych samych przyczyn, ponownie wstrzymano odliczanie.

Rakietę odpalono ostatecznie w piątek, trzydziestego pierwszego stycznia.

...od chwili powołania w 1947 roku, Centralna Agencja Wywiadowcza (...) wydała miliony dolarów na szeroko zakrojony projekt poszukiwania leków i innych metod zmieniających ludzi w posłuszne automaty. Pacjent — wbrew swojej woli na dany rozkaz działał, mówił i ujawniał najskrytsze tajemnice. Także na rozkaz potrafił o wszystkim zapomnieć.

John Marks, *The Search for the „Manchurian Candidate”*; *The CIA and Mind Control*, 1979

CZĘŚĆ PIERWSZA

05:00

Pocisk Jupiter C stał na wyrzutni kompleksu numer dwadzieścia sześć, na przylądku Canaveral. Dla zachowania pełnej tajemnicy osłonięty był grubym płótnem, spod którego wystawał jedynie znany wszystkim ogon międzykontynentalnej rakiety balistycznej Redstone. Reszta, schowana pod plandeką, wyglądała zupełnie inaczej...

Obudził się, przepelniony jakimś nieokreślonym lękiem.

Gorzej — był przerażony. Serce waliło mu jak młotem, dyszał ciężko i czuł ból mocno napiętego ciała. Przypominało to okropny koszmar, z tą różnicą, że po przebudzeniu nie odczuł żadnej ulgi. Wiedział, że zaszło coś strasznego. Nie miał pojęcia, co to było.

Otworzył oczy. W słabym świetle padającym z sąsiedniego pomieszczenia dostrzegł dziwnie znajome, choć złowieszcze kształty. Gdzieś w pobliżu kapąła woda.

Postanowił się uspokoić. Przelknął ślinę, wziął kilka głębokich oddechów i usiłował zebrać myśli. Leżał na twardej posadzce. Było mu zimno, bolały go wszystkie mięśnie i miał kaca. Mdliło go, paliło w ustach i łomotało w

głowie.

Usiadł i zadygotał, przejęty niewytłumaczalnym strachem. Poczłł niemiłą woń mokrej posadzki, umytej silnym środkiem dezynfekującym. Zobaczył szereg umywalek.

Był w miejskiej toalecie.

Skrzywił się z obrzydzeniem. Spał na podłodze w męskim kiblu! Co mu się, do diabła, stało?

Był w ubraniu... Miał na sobie coś w rodzaju płaszcz a ciężkie buciory. Instyktownie wiedział, że to nie jego łachy. Pomału zapanował nad nerwami. Głębiej, gdzieś w środku, czaił się inny strach, mniej histeryczny, a bardziej racjonalny. Dobrze wiedział, że przydarzyło mu się coś okropnego.

Potrzebował światła.

Wstał i wbił wzrok w półmrok w poszukiwaniu drzwi. Wyciągnął przed siebie ręce, by nie wpaść na jakiś przedmiot, i po chwili doszedł do ściany. Sunął jak ślepiec, ostrożnie macając drogę. Dotknął zimnego szkła i domyślił się, że to lustro. Potem był papierowy ręcznik i jakaś metalowa skrzynka. Pewnie suszarka albo coś w tym rodzaju. Wreszcie natrafił na kontakt. Włączył światło.

Jasny blask zalał białe kafelkowe ściany, betonową podłogę i rząd toalet z szeroko otwartymi drzwiami. W kącie leżała kupa łachmanów. Nie miał pojęcia, jak tu się znalazł. Wyteżył umysł. Co się stało minionej nocy? Nie pamiętał.

Uświadomił sobie, że nic nie pamięta, i znowu wpadł w panikę.

Zacisnął zęby, żeby nie krzycheć. Wczoraj... przedwczoraj... nic. Jak się nazywał? Nawet tego nie wiedział.

Odwrócił się w stronę umywalek. Powyżej było duże lustro. Zobaczył w nim brudnego, obszarpanego dziada o posklejanych włosach, poczerniałej twarzy i dziko wytrzeszczonych oczach. Przyglądał mu się przez chwilę. Wreszcie zrozumiał i odskoczył ze zdławionym okrzykiem, a diad zrobił to samo. Patrzył na własne odbicie.

Nie potrafił już dłużej zapanować nad przerażeniem.

Rozdziawił usta.

— Kim jestem?! — krzyknął drżącym ze strachu głosem.

□ □ □

Sterta szmat drgnęła i przetoczyła się na bok. Ujrzał czyjąś głowę.

— Jesteś ostatnią łajzą, Luke — rozległ się niewyraźny bełkot. — Lepiej się uspokój.

Miał więc na imię Luke.

Był wdzięczny za tę wiadomość. Samo imię to wprawdzie niewiele, ale od czegoś trzeba zacząć. Zerknął na kompana. Jego towarzysz był omotany podartym tweedowym płaszczem, przewiązany w pasie kawałkiem zwykłego sznurka. Miał młodą, umorusaną twarz o cwany wyglądzie. Przecierał oczy.

— Głowa mnie boli — wymamrotał.

— Kim jesteś? — spytał Luke.

— Pete. Twój kumpel. Nie poznasz mnie?

— Nie... — Luke przełknął ślinę, żeby nie wpaść w historię. — Straciłem pamięć!

— Nic dziwnego. Wczoraj sam wychlałeś całą flaszkę wódki. Cud, że w ogóle nie zgłupiałeś. — Pete oblizał usta.

— Nic nie posmakowałem. Pieprzony burbon...

To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego mam kaca, pomyślał Luke.

— Dlaczego piłem?

Pete wybuchnął urągliwym śmiechem.

— Jak to dlaczego? Po prostu po to, żeby się upić!

Luke skrzywił się z niesmakiem. Był włóczęgą, pijakiem i sypiał w męskich szaletach.

Dreńczyło go pragnienie. Pochylił się nad umywalką, odkręcił kurek z zimną wodą i napił się prosto z kranu. Wylał usta i znowu z obrzydzeniem popatrzył w lustro.

Był już o wiele spokojniejszy. Dzikie spojrzenie gdzieś zniknęło, zastąpione przez wyraz rozpaczony i niedowierzania.

Ujrzał twarz człowieka przed czterdziestką, o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Nie nosił wąsów ani brody, jedynie kilkudniowy zarost.

Przeniósł wzrok na Pete'a.

— Luke... i co dalej? — zapytał. — Mam jakieś nazwisko?

— Luke... coś tam. Nie jestem Duchem Świętym!

— Jak się tutaj znalazłem? Ile to trwa? Dlaczego?

Pete wstał.

— Pora na śniadanie — stwierdził.

Luke też był głodny. Nie pamiętał nawet, czy ma przy sobie pieniądze. Przeszukał kieszenie w płaszczu, marynarce i spodniach. Pusto. Nie znalazł ani centa. Nie miał portfela, nie miał nawet chustki do nosa. Żadnych poszlak.

— Jestem splukany — wymamrotał.

— Żartujesz — mruknął Pete. — Chodź.

Ruszył do drzwi, a Luke poszedł za nim.

Przeżył następną szok, kiedy weszli do sąsiedniego, rześcicie oświetlonego pomieszczenia. Był w ogromnej świątyni, pustej i dziwnie cichej. Na marmurowej posadzce stał równy rząd mahoniowych ławek, jakby w oczekiwaniu na upiorną kongregację. Wokół olbrzymiej sali, na kamiennych zwieńczeniach filarów, siedzieli dziwni rycerze, zbrojni we włócznie i tarcze. Strażnicy świętego miejsca. Hen, nad ich głowami, był wysoko sklepiony sufit, ozdobiony błyszczącymi ośmiokątami. Luke pomyślał nagle, że wpadł w ręce tajemniczej sekty, odbierającej ludziom pamięć.

— Co to za miejsce? — spytał niemal szeptem.

— Waszyngtońska Union Station — odparł Pete.

Luke odetchnął z ulgą. Wszystko nabrało sensu. Teraz już widział kurz na ścianach, rozdeptaną gumę do żucia na podłodze, papierki po cukierkach i zgniecione pudełka po papierosach. Zrobiło mu się głupio. Znajdował się na ogromnej stacji kolejowej, a ponieważ dopiero świtało, nie dotarł tu jeszcze rozgadany tłum pasażerów. Bał się zupełnie niepotrzebnie, jak dziecko, które widzi potwora w ciemnym

pokoju.

Pete skierował się w stronę łuku z napisem „wyjście”. Luke pośpieszył za nim.

— Hej, wy tam! — rozległo się wołanie.

— Och... — jęknął Pete i ruszył nieco szybciej.

Przed nimi stanął krępy człowiek w obcisłym mundurze kolejarza. Jego twarz była wykrzywiona gniewem.

— Skąd was wyгнаło, obwiesie?

— Już znikamy — wymamrotał pokornie Pete.

Luke był zły na siebie, że dał się złapać grubemu kolejarzowi. Co gorsza, facet najwyraźniej nie zamierzał się odczepić.

— Nocowaliście tutaj? — burczał, prawie depcząc im po piętach. — Dobrze wiecie, że to zabronione.

Luke wściekał się coraz bardziej. Nie lubił być pouczany niczym niesforny uczeń. Nie lubił, chociaż zdawał sobie sprawę, że popełnił wykroczenie. Przecież faktycznie spał w tej cholерnej toalecie... Zaciśnął zęby i przyspieszył kroku.

— To nie przytułek! — żołądkował się kolejarz. — Jazda stąd, wałkonie! — wrzasnął i pchnął Luke’a.

Luke odwrócił się i popatrzył mu prosto w oczy.

— Nie dotykaj mnie — powiedział, sam zaskoczony groźnym tonem swojego głosu. Kolejarz stanął jak wryty. — Wychodzimy. Nie musisz nic więcej mówić. Zrozumiałeś?

Kolejarz cofnął się z przestachem.

Pete złapał Luke’a za ramię.

— Chodźmy stąd.

Luke poczuł wstyd. Kolejarz wprawdzie okazał się służbistą, ale przecież miał pełne prawo wyrzucić dwóch włóczęgów z dworca. Nikt nie powinien mu grozić.

Minęli majestatyczną bramę. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Na podjeździe przed dworcem stało kilka zaparkowanych samochodów, ale poza tym miasto wyglądało na całkiem puste. Panował przenikliwy ziąb. Luke mocniej zaciśnął poły poszarpanego płaszcza. Była zima. Mroźny

poranek w Waszyngtonie. Prawdopodobnie styczeń lub luty.

Którego roku? — przemknęło mu przez głowę.

Pete pewnym krokiem skręcił w lewo. Luke poszedł za nim.

— Dokąd idziemy? — spytał.

— Do zakrystii przy H Street. Za darmo dadzą nam śniadanie. Trzeba tylko odśpiewać parę psalmów.

— Padam z głodu. Zaśpiewam całe oratorium.

Pete szybko szedł mocno krętą drogą, wiodącą wśród tanich domów. Miasto wciąż spało. Okna były ciemne, zasłony zaciągnięte, wszystkie kioski i trafiki zamknięte. Luke spojrzął w jedno z okien, zasłonięte tanią firanką. Wyobraził sobie smacznie chrapiącego człowieka, otulonego kołdrą, z ciepłą żoną u boku. Poczul ukłucie zazdrości. Nie pasował do tego miejsca. Należał do małej grupki ludzi, którzy o poranku przemierzają zimne ulice miasta, w czasie gdy cała reszta jego mieszkańców jeszcze śpi. Czasem ktoś przemknął ulicą — człowiek w roboczym ubraniu, śpieszący do pracy, młody rowerzysta opatulony w szalik i rękawice, samotna kobieta, paląca papierosa w jasno oświetlonym wnętrzu autobusu.

W jego głowie kłębiło się od natłoku pytań. Od kiedy był pijakiem? Czy próbował zerwać z nałogiem? Może miał jakąś rodzinę, u której mógł znaleźć pomoc? Gdzie poznał Pete'a? Skąd wzięli wódkę? Gdzie ją wypili? Pete nie przejawiał chęci do rozmowy, więc Luke musiał uzbroić się w cierpliwość. Może pogadają, kiedy zjedzą śniadanie?

Doszli do małego kościółka, wciśniętego buńczucznie pomiędzy kino i trafikę. Wsunęli się bocznym wejściem i zeszli po schodach na dół. Znaleźli się w długim, niskim pomieszczeniu. Krypta, pomyślał Luke. W jednym kącie stało pianino i niewielki pulpit, w drugim kuchnia, a pośrodku — trzy rzędy topornych stołów i ławy. Za stołami siedziało trzech włóczęgów; po jednym na każdej ławie. Pustym wzrokiem spoglądali w przestrzeń. Przy kuchni, koło garnka, krzątała się przysadzista kobieta. Siwobrody człowiek w

koloratce uniósł wzrok znad dzbanka z kawą.

— Witam! Witam! — zawołał wesoło. — Chodźcie się trochę ogrzać.

Luke ostrożnie zerknął na niego. Nie był pewien, czy ten entuzjazm nie jest tylko na pokaz.

W krypcie rzeczywiście było ciepło. Luke rozpiął płaszcz.

— Dzieńdoberek, pastorze Lonegan — powiedział Pete.

— Byliście już tutaj? — zdziwił się duchowny. — Nie pamiętam waszych twarzy.

— Ja jestem Pete. A to Luke.

— Dwaj apostołowie! — Radość Lonegana była całkiem szczerą. — Jeszcze za wcześnie na śniadanie, ale właśnie zaparzyłem kawę.

Jak ktoś może wstawać o świcie, bratać się z żebrakami i w dodatku cały czas mieć dobry humor? — zastanawiał się Luke.

Pastor nalał kawy do dwóch grubych kubków.

— Mleka i cukru?

Luke nie wiedział, czy pija kawę słodzoną i z mlekiem.

— Tak, proszę — powiedział na wszelki wypadek.

Wziął kubek i upił łyk. Kawa była obrzydliwie słodka i lepka. Chyba więc pijam czarną, pomyślał. Mimo to łapczywie wysączył zawartość kubka, żeby oszukać głód, czekając na śniadanie.

— Za chwilę się pomodlimy — oznajmił pastor. — A zanim skończymy, pani Lonegan skończy gotować swoją słynną owsiankę.

Luke doszedł do wniosku, że jego podejrzenia są niesprawiedliwe. Pastor Lonegan naprawdę kochał swoich bliźnich.

Pete zasiadł na ławie, a Luke zajął miejsce obok i popatrzył na niego. Do tej pory widział jedynie brudną twarz i postrzępione łachy. Teraz jednak zauważył, że Pete wcale nie wygląda na pijaka. Nie miał popękanych żyłek na twarzy ani obwisłej i złuszczonej skóry, żadnych zadrapań czy

siniaków... Może był jeszcze za młody. Ile naprawdę mógł mieć lat? Około dwudziestu pięciu, doszedł w końcu do wniosku. Na policzku Pete'a, od prawego ucha aż do szczęki, ciągnęło się ciemne znamię. Żółte zęby ledwie trzymały mu się w ustach. Pewnie dlatego, żeby to ukryć, zapuścił wąsy. Dawno temu, kiedy bardziej dbał o własny wygląd... Biła od niego jakaś dzikość. Luke wyczuł instynktownie, że Pete nienawidzi świata. Może za swoją brzydotę, a może za coś innego? Sądził pewnie, że krajem rządzą ci, którymi pogardzał: chińscy imigranci, arogancy Murzyni albo tajna klika dziesięciu bogaczy, kontrolujących całą giełdę.

— Co się tak gapisz? — burknął Pete.

Luke wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Na stole leżała gazeta, rozłożona na stronie z krzyżówką, a obok ogryzek ołówka. Luke odruchowo wziął go do ręki i zaczął wpisywać litery w wolne pola.

Do krypty przybywali kolejni oberwańcy. Pani Lonigan przyniosła stertę misek i łyżki. Luke rozwiązał już prawie całą krzyżówkę, z wyjątkiem jednego hasła: „Niewielkie sioło w Danii”. Sześć liter. Pastor Lonigan spojrzął mu przez ramię, zrobił zdumioną minę i cicho powiedział do żony:

— „O, jak szlachetny duch zwichnięty został!”.

Luke natychmiast zrozumiał wskazówkę i wpisał „hamlet”. Skąd to wiedziałem? — zastanawiał się w duchu.

Przełożył gazetę i spojrzął na datę, wydrukowaną na pierwszej stronie. Środa, dwudziesty dziewiąty stycznia 1958 roku. Poniżej widniał tytuł: „Amerykański Księżyc wciąż uczepiony Ziemi”. Zaczął czytać.

Przylądek Canaveral, wtorek. Po serii kłopotów technicznych sztab Marynarki Stanów Zjednoczonych odwołał dziś drugą próbę wystrzelenia rakiety kosmicznej Vanguard. Decyzja zapadła dwa miesiące po spektakularnej katastrofie pierwszego Vanguarda, który eksplodował w dwie sekundy po odpaleniu.

*Nadzieją Ameryki w pościgu za sowieckim Sputnikiem
pozostaje już tylko pocisk Jupiter, skonstruowany przez
specjalistów z US Army.*

Ktoś uderzył w klawisze pianina. Luke uniósł głowę. Pani Lonegan zagrała pierwsze takty dobrze znanej pieśni. Wspólnie z mężem zaczęli śpiewać *What a Friend we have in Jesus*. Luke przyłączył się do chóru, szczęśliwy, że wciąż pamięta słowa.

Dziwnie być pijakiem, pomyślał. Umiem rozwiązywać krzyżówkę i znam religijne pieśni, a nie mogę sobie przypomnieć imienia własnej matki. Może lata nałogu częściowo zniszczyły mi umysł? Jak mogłem na to pozwolić?

Kiedy skończyli śpiewać, pastor Lonegan odczytał kilka wersetów z Biblii i pobłogosławił wszystkich zebranych, mówiąc im, że na pewno dostąpią odkupienia. Przydałoby się, dumał Luke. Mimo to nie pokładał jedynej wiary w Bogu. Najpierw chciał ustalić swoją prawdziwą tożsamość.

Pastor zaintonował modlitwę, potem znów śpiewali, aż wreszcie mogli stanąć w niedługiej kolejce. Każdy z nich dostał od pani Lonegan miskę owsianki polanej syropem. Luke wziął dwie dokładki. Czuł się już znacznie lepiej. Kac mijał.

Jednak przede wszystkim chciał poznać odpowiedzi na najprostsze pytania. Podszedł do pastora.

— Widział mnie pan tu kiedyś? Straciłem pamięć.

Lonegan obrzucił go uważnym spojrzeniem.

— Chyba nie... Ale co tydzień spotykam setki ludzi, więc mogę się mylić. Ile masz lat?

— Nie wiem — odparł Luke. Poczul się bardzo głupio.

— Gdzieś koło trzydziestki, jak sądzę. Niedługo jesteś włóczęgą. Takie życie wywiera piętno na człowieku. A ty wciąż jeszcze chodzisz równym i sprężystym krokiem, masz gładką, chociaż brudną skórę, i radzisz sobie z krzyżówkami. Skończ z piciem, a wrócisz do normalnego życia.

Ilu już to słyszało? — pomyślał Luke.

— Spróbuję — obiecał pastorowi.

— Wróc tu po pomoc, jeśli będziesz w potrzebie.

Młody żebrak, chyba niespełna rozumu, od dłuższej chwili próbował zwrócić uwagę Lonegana, monotonna klepiąc go w ramię. Pastor odwrócił głowę w jego stronę.

— Od kiedy mnie znasz? — zapytał Luke Pete'a.

— A bo ja wiem? Od jakiegoś czasu.

— Gdzie spaliśmy przedwczoraj?

— Daj se spokój. W końcu odzyskasz pamięć.

— Chciałbym przynajmniej wiedzieć, skąd pochodzę.

— Przede wszystkim trzeba się napić piwa... — powiedział Pete po chwili wahania. — To pomaga w myśleniu.

Ruszył do drzwi, ale Luke złapał go za ramię.

— Nie chcę piwa — burknął. Pete najwyraźniej nie zamierzał mu pomóc w odkrywaniu jego przeszłości. Może się bał, że straci kumpla? Trudno. Luke nie będzie dotrzymywać mu towarzystwa. Miał do załatwienia dużo pilniejsze sprawy. — Wolałbym parę chwil spędzić w samotności — oświadczył.

— Bawisz się w Gretę Garbo?

— Mówię poważnie.

— Ktoś musi cię pilnować. Sam nie dasz sobie rady. Przecież, do diabła, nawet nie pamiętasz daty swoich urodzin! — oświadczył Pete.

— Doceniam twoją troskę, ale jak na razie wcale mi nie pomagasz — odparł Luke.

Pete pokręcił głową.

— Chyba masz rację — mruknął i odwrócił się w stronę drzwi. — No to na razie. Może się kiedyś jeszcze spotkamy.

— Może...

Kiedy Pete wyszedł, Luke potrząsnął dłonią pastora Lonegana.

— Dziękuję za wszystko.

— Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz —

odpowiedział pastor.

Luke wspiął się na schody i wyszedł na ulicę. Pete stał przy najbliższej przecznicy. Rozmawiał z jakimś człowiekiem w zielonym nieprzemakalnym płaszczu i takiej samej czapce. Pewnie żebrze o parę groszy na piwo, pomyślał Luke. Poszedł w przeciwnym kierunku i skręcił za najbliższym rogiem.

Wciąż było ciemno. Luke'owi zmarzły stopy. Nie miał na nogach skarpetek. Właśnie zaczęło śnieżyć, więc przyśpieszył kroku. Po kilku minutach zwolnił. Nie było przecież żadnego powodu do pośpiechu. Co za różnica, czy będzie biegł, czy włókł się noga za nogą? Przystanął, a potem wszedł do bramy.

Nie miał własnego domu.

06:00

Wyrzutnię z trzech stron otaczało rusztowanie, trzymające raketę w stalowym uścisku. Cała konstrukcja to nic więcej jak przerobiona wieża wiertnicza, osadzona na dwóch zestawach kół, jeżdżących po szerokich szynach. Chociaż wielka jak dom, tuż przed startem miała być odholowana na odległość 100 metrów.

Elspeth obudziła się pełna obaw o Luke'a.

Przez chwilę leżała w łóżku. Martwiła się o niego, jak każda kochająca kobieta. Zapaliła nocną lampkę i usiadła.

Pokój w motelu miał „kosmiczny” wystrój. Lampa w kształcie rakiety i mnóstwo obrazków na ścianach, z wizerunkami planet i księżyców na tle upstrzonego gwiazdami ciemnogrnatowego nieba. Sam motel nosił nazwę „Starlite” i był jednym z setek podobnych przybytków, które wyrosły na piaszczystych wydmach Cocoa Beach na Florydzie, dziesięć kilometrów na południe od przylądka Canaveral. Zwykła reakcja na nagły najazd turystów. Zdaniem właściciela kosmiczne gadżety najlepiej oddawały atmosferę tego czasu, ale Elspeth miała wrażenie, że przyszło jej nocować w pokoju dziesięciolatka.

Podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do biura

Anthony'ego Carrolła w Waszyngtonie. Nikt nie odbierał. W domu Carrolła też panowała cisza. Co się stało? Zemdliło ją ze strachu. A może Anthony właśnie jedzie do pracy... — pomyślała, próbując się uspokoić. Złapie go za pół godziny. Dojazd zajmował mu nie więcej niż trzydzieści minut.

Wzięła prysznic. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz spotkała Luke'a i Anthony'ego. Było to jeszcze przed wojną. Oni studiowali w Harvardzie, a ona w Radcliffe. Obaj należeli do Harvard Glee Club. Luke śpiewał miłym barytonem, Anthony wspaniałym tenorem. A ona w tamtych latach dyrygowała chórem z Radcliffe, więc zorganizowała wspólny koncert.

Luke i Anthony byli nierozłączni. Stanowili przedziwną parę. Obaj byli wysocy i wysportowani, ale na tym kończyło się ich podobieństwo. Dziewczęta z Radcliffe wymyśliły im przezwiska Piękny i Bestia. Luke był Piękny, bo zawsze dobrze się ubierał i miał lekko falujące czarne włosy. Anthony nie grzeszył urodą, straszyl wielkim nosem i wydatną szczęką i wciąż wyglądał, jakby chodził w pożyczonych ubraniach, ale lubiano go za jego żywiołowość i entuzjazm.

Elsbeth wyszła z łazienki i w szlafroku usiadła przed lustrem, żeby zrobić makijaż. Obok tuszu do rzęs położyła zegarek. Chciała dokładnie zobaczyć, kiedy upłynie pół godziny.

Pierwszy raz odezwała się do Luke'a w czasie „pogoni za majtkami”. Pewnej nocy kilku chłopców z Harvardu wtargnęło do akademika przez okienko w piwnicy. Jak to możliwe, że przed dwudziestu laty martwiłyśmy się tylko o to, że ktoś nam skradnie majtki? — zastanawiała się Elspeth. Czy świat był wtedy bardziej niewinny?

Luke przypadkowo zjrzał do jej pokoju. Tak jak ona, studiował matematykę. Miał na twarzy maskę, lecz rozpoznała go bez trudu, po jasnoszarej tweedowej marynarce i bawełnianej chusteczce w czerwone grochy, wystającej z górnej kieszeni. Sprawiał wrażenie lekko speszonego, jakby

nagle zrozumiał, że to, co robi, jest beznadziejnie głupie. Elspeth uśmiechnęła się i wskazała na komodę.

— W górnej szufladzie — powiedziała.

Wyjął z niej śliczną parę białych koronkowych majteczek. Elspeth westchnęła z żalem, bo były dosyć drogie. Następnego dnia zaprosił ją na randkę.

Próbowała o tym nie myśleć. Źle spała, więc musiała poświęcić więcej czasu na makijaż. Pudrem wygładziła policzki i różową szminką rozjaśniła usta. Zrobiła dyplom w Radcliffe, a mimo to w pracy żądano od niej przede wszystkim tego, by wyglądała jak modelka.

Uczesała się starannie. Miała rudobrazowe włosy, modnie przystrzyżone do połowy szyi, z końcami podwiniętymi do wewnątrz. Szybko włożyła bawełnianą sukienkę bez rękawów w zielono-brunatne prążki i przepasała się szerokim paskiem z ciemnej skóry.

Minęło już dwadzieścia dziewięć minut od chwili, kiedy telefonowała do Anthony'ego.

Dla zabicia czasu pomyślała o liczbie dwadzieścia dziewięć. Liczba pierwsza — więc dzieli się tylko przez jeden i samą siebie. Poza tym mało ciekawa. Można o niej powiedzieć tylko to, że $29+2x^2$ daje liczbę pierwszą dla każdej wartości x poniżej dwudziestu ośmiu. Policzyła szybko: dwadzieścia dziewięć, trzydzieści jeden, trzydzieści siedem, czterdzieści siedem, sześćdziesiąt jeden, siedemdziesiąt dziewięć, sto jeden, sto dwadzieścia siedem...

Podeszła do telefonu i ponownie zadzwoniła do biura Anthony'ego.

Nie było odpowiedzi.

1941

Elsbeth Twomey kochała Luke'a od chwili, kiedy ją pocałował.

Większość chłopców z Harvardu nie umiała całować. Miażdżyli usta dziewczętom napalonym całusem albo szczyrzyli się jak u dentysty. Pocałunek Luke'a, który miał miejsce pięć minut przed północą, w cieniu głównego gmachu akademika Radcliffe, był namiętny i pełen pasji, ale jednocześnie delikatny. Elspeth czuła, jak jego wargi muskają jej policzki, szyję i powieki. W pewnej chwili Luke lekko dotknął jej ust koniuszkiem języka, jakby pytając: „Mogę?”. Nie wahała się ani chwili. Później, kiedy już znalazła się w swoim pokoju, popatrzyła w lustro.

— Chyba go kocham — szepnęła do swojego odbicia.

Było to pół roku temu. Od tamtej pory ich uczucie uległo pogłębieniu. Widywali się niemal codziennie. Oboje dobrnęli już do ostatniego etapu studiów. Spotykali się na lunchu i godzinami wspólnie ślęczeli nad książkami. W weekendy prawie się nie rozstawali.

Dziewczęta z Radcliffe na dyplomowym roku często wybierały sobie studenta z Harvardu albo młodego profesora. Ślub odbywał się zazwyczaj latem, potem miesiąc miodowy, powrót i przeprowadzka do własnego mieszkania. Pierwsza praca i — mniej więcej po roku — pierwsze dziecko.

Luke jednak nigdy nie wspomniał o małżeństwie.

Siedzieli wtedy razem w barze Flanagana, kłócąc się zawzięcie z Bernem Rothstenem. Ben był wysoki, miał sumiaste czarne wąsy i ostre spojrzenie. Luke lewą ręką odgarniał kosmyk włosów opadający mu na oczy. Zawsze tak robił. Każą ci go obciąć, kiedy pójdziesz do odpowiedzialnej pracy, pomyślała Elspeth. Już nie będziesz tak pociągający. Szkoda.

Bern był komunistą, jak wielu studentów i profesorów z Harvardu.

— Masz ojca bankiera — powiedział z pogardą, zwracając się do Luke'a. — Sam też zostaniesz bankierem. Nic dziwnego, że kochasz kapitalizm.

Elspeth zauważyła, że na szyi Luke'a pojawił się ciemny rumieniec. „Time” pisał ostatnio dużo o jego ojcu. Ponoć był jednym z dziesięciu milionerów, którzy się dorobili od czasów Wielkiego Kryzysu. Luke jednak nie czuł wyrzutów sumienia z tego powodu, że miał nieco szczęścia. Kochał swoją rodzinę i nie lubił, jak ktoś krytykował ojca.

— Bern, źle robisz, oceniając ludzi po rodzicach! — zawołała ze złością Elspeth.

— Zawód bankiera na ogół bywa szanowany — stwierdził Luke. — Banki dają ludziom zatrudnienie i pomagają im w założeniu własnego interesu.

— Zwłaszcza w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku...

— Wszyscy popełniamy błędy. Czasami pomoc bywa niewłaściwie skierowana. Żołnierz też może się pomylić i zabić kogoś niewinnego, ale nikt nie nazwie go mordercą.

Bern zrobił nieszczęśliwą minę. Walczył w wojnie hiszpańskiej — był starszy od innych studentów o trzy lub cztery lata — i widocznie pamiętał jakąś swoją tragiczną pomyłkę.

— Poza tym nie będę bankierem — oznajmił Luke.

Peg, dziewczyna Berna, wyglądała jak czupiradło. Popierała

jego poglądy, lecz w jej wypowiedziach było mniej sarkazmu. Pochyliła się nad stołem i zapytała:

— A kim?

— Naukowcem.

— W jakiej dziedzinie?

Luke wskazał w górę.

— Chcę badać inne światy.

Bern zaśmiał się urągliwie.

— Statki kosmiczne! Marzenia małych chłopców.

Elsbeth znów stanęła w obronie Luke'a:

— Nie znasz się na tym, więc po prostu nie zabieraj głosu!

Bern studiował literaturę francuską.

Jednak Luke nie przejął się zbyt jego ironizowaniem. Widać już przywykł do kpin kolegów ze swoich zainteresowań.

— Tak będzie — oświadczył z przekonaniem. — I powiem wam coś jeszcze. Moim zdaniem nauka więcej zrobi dla ludzkości niż wszyscy komuniści. Nawet za naszego życia.

Elsbeth skrzywiła się. Kochała Luke'a, ale ten chłopak nie miał zielonego pojęcia o polityce.

— To zbyt proste — powiedziała. — Zdobycze nauki są dostępne jedynie dla wybrańców.

— Nieprawda — zaprzeczył Luke. — Parowce przyczyniły się do poprawy bytu zwykłych marynarzy, nie mówiąc już o pasażerach wielkich transatlantyków.

— Byłeś kiedyś w kotłowni takiego statku? — spytał Bern.

— Byłem. Nikt tam nie cierpiał na szkorbut.

Nagle jakaś potężna postać zamajaczyła obok stołu.

— Halo, młodzieży! Macie dość lat, żeby pić alkohol w publicznym lokalu?

Był to Anthony Carroll. Wyglądał, jakby całą noc przespał w ubraniu. Obok niego stała dziewczyna. Była tak piękna, że Elspeth bezwiednie wydała pomruk zaskoczenia. Drobną, maleńką, w eleganckim czerwonym żakiecie i luźnej czarnej spódnicy. Spod jej czerwonego kapelusika wymykały się

kosmyki ciemnych włosów.

— To Billie Josephson — przedstawił ją Anthony.

— Jesteś Żydówką? — zapytał Bern Rothsten.

Była wyraźnie zdumiona tak obcesowym zachowaniem, ale odpowiedziała:

— Tak.

— Zatem możesz poślubić Anthony'ego, jednak nie wpuszczaj cię do klubu.

— Nie należę do takich klubów! — zaprotestował Anthony.

— Na pewno będziesz należał — uspokoił go Bern. — Na pewno.

Luke wstał, żeby się przywitać, i niechcący trącił biodrem w stół. Przewrócił szklanekę. Nigdy przedtem nie zachowywał się tak niezgrabnie. Elspeth natychmiast zrozumiała, że to widok panny Josephson tak na niego podziałał, i poczuła ukłucie zazdrości.

— A to niespodzianka! — uśmiechnął się czarująco. — Kiedy Anthony wspomniał, że poznał kogoś o imieniu Billie, wyobraziłem sobie dziewczę dwumetrowej wysokości, o budowie siłaczki.

Billie roześmiała się wesoło i zajęła miejsce obok niego.

— Naprawdę mam na imię Bilhah — wyjaśniła. — To z Biblii. Służąca Jakuba i zarazem matka Daniela. Wychowałam się w Dallas, gdzie wszyscy wołali na mnie Billie-Jo.

Anthony usiadł przy Elspeth.

— Śliczna, prawda? — spytał cicho.

Elspeth jednak doszła już do wniosku, że Billie wcale nie jest taka piękna. Miała zbyt wąską twarz, ostry nos i ogromne, ciemnobrązowe oczy. Ale oczywiście potrafiła doskonale o sobie zadbać i pokazać się we właściwym świetle. Czerwona szminka, kapelusik przekrzywiony na bakier, teksaski akcent i energiczne ruchy... Właśnie opowiadała jakąś przygodę z Teksasu, uśmiechając się i marszcząc brwi. Na jej twarzy malowała się cała gama emocji.